



SIMON KERNICK

Zapłata

Fabula, postacie, tempo... rewelacyjne!

Lee Child

Prolog

Kiedy tylko mężczyzna w czerni wszedł do małego zagraconego biura z aktówką w jednej ręce i wielkim pistoletem w drugiej, Nick Penny zrozumiał, że nadszedł kres jego długiej, czasami wybitnej kariery nadeptywania ludziom na odciski. W końcu trafiła kosa na kamień.

— Był pan niegrzeczny — powiedział przybysz po angielsku z silnym obcym akcentem, podchodząc do biurka. Trzymał pistolet, celując prosto w jego pierś z zimnym, wyrachowanym uśmiechem na skądinąd zupełnie zwyczajnej twarzy.

Penny zamarł w bezruchu na krześle.

— Proszę — szepnął, czując łomotanie serca w piersi. — Nie chcę umierać.

— Nikt nie chce umierać, panie Penny — oznajmił spokojnie mężczyzna. — Niestety, w tej kwestii nie ma pan wyboru.

Penny odruchowo zamknął oczy i zgrzytnął zębami, czekając wystrzału.

Ale mężczyzna nie pociągnął za spust. Usiadł naprzeciwko niego.

— Ma pan wybór w innej sprawie — podjął. — Może pan wybrać sposób, w jaki pan odejdzie. — Gdy Penny otworzył oczy, skinął w stronę jego notesu. — Chcę, żeby pan napisał

trzy krótkie listy. Pierwszy do żony, z prośbą o wybaczenie oraz z przeprosinami za oszukiwanie i za to, co pan ma zamiar zrobić. Nazwie ją pan Nat i podpisze się jako Nick. Drugi list skieruje pan do swojej byłej kochanki z wyjaśnieniem, że nie może pan już dłużej znieść tego napięcia. Zwróci się pan do niej „T” i podpisze „Pan P”. Trzeci list będzie do pańskich córek, Elli i Amelie. Poprosi je pan o wybaczenie i doda, że ma pan nadzieję, iż pewnego dnia zrozumieją pańską decyzję. Oczywiście ten list podpisze pan „Kochający Tata”.

Penny drgnął, słysząc wzmiankę o córkach. Patrzył na przybysza, zastanawiając się, skąd ma o nim tyle informacji. Zna nie tylko imiona członków jego rodziny, ale wie również o kobiecie, z którą dyskretnie spotykał się przez trzy miesiące. Penny dokładał starań, żeby zacierać za sobą ślady, bo nie chciał niepotrzebnie denerwować Natalie, a mimo to zupełnie obcy człowiek dowiedział się o romansie. Co więcej, wiedział nawet to, jak pieszczotliwie nazywała go kochanka do czasu zerwania, co nastąpiło dwa tygodnie temu. Pan P. Uwielbiał, kiedy to mruczała, gdy byli razem w łóżku.

Mężczyzna musiał założyć podsłuch w jej i w jego domu, co oznaczało, że jest zawodowcem — o czym zresztą świadczyły jego spokój, pewność siebie i obojętna mina. Dla Penny’ego znaczyło to również, że może zdoła go przekonać do zmiany zdania.

— Proszę posłuchać, musi istnieć sposób, w jaki możemy to rozwiązać — powiedział, starając się nie okazać strachu.

— Obawiam się, że nie — odparł mężczyzna z tym samym wyrazem twarzy. — Napisze pan te listy. Potem powiesi się pan na belce na sznurze, który panu dam.

Penny odruchowo zerknął na belkę biegnącą pod sufitem biura, świadomy, że utrzyma jego ciężar, po czym spojrzał na siedzącego przed nim mężczyznę. Trudno mu było uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Zawsze wiedział, że z jego pracą wiąże się ryzyko, ale nawet w najgorszych koszmarach nie przewidywał, że będzie patrzeć w lufę pistoletu

i błagać o życie.

— Proszę... — szepnął.

— Niech pan zacznie pisać, panie Penny. I niech się pan nie martwi, gdyby pan zapomniał, co napisać. Mogę dyktować.

Penny zmarszczył brwi.

— Nie może mnie pan do tego zmusić — oświadczył ze znacznie większą pewnością siebie, niż naprawdę odczuwał. — To pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Zrobi piekielny hałas, jeśli tu wypali, a nie ma pan tłumika. — Wiedział, że biuro na dole jest puste, a facet wynajmujący sąsiednie rzadko się pojawia, lecz może intruz się przestraszy i zastanowi dwa razy, zanim postanowi go zastrzelić.

Nie udało się. Mężczyzna obdarzył go nieznacznym, bladym uśmiechem.

— To prawda. Ale nie muszę go używać. Mam coś znacznie lepszego. — Wciąż w niego celując, pochylił się, odpiął zatrzaski aktówki i wyjął z niej mały czarny netbook. Otworzył go jedną ręką i położył na biurku, ekranem w stronę Penny'ego. — Proszę wcisnąć enter i powiedzieć mi, co pan widzi.

Z narastającym przerażeniem Penny zrobił, co mu kazano. I zamarł.

Grymas bólu wykrzywił jego twarz.

— Jezu...

Na ekranie zobaczył dom, w którym mieszkał z Natalie i dziećmi, widziany spomiędzy drzew na końcu ogrodu. Obraz lekko drżał, co wskazywało, że ktoś filmuje ręczną kamerą. Na pierwszym planie widniał batut i plastikowy domek, z którego dziewczynki już wyrosły. O tej porze roku wcześniej się ściemniało i w domu paliły się światła. Przerażony, że być może już im się coś stało, nagle dostrzegł kogoś w oknie. Rozpoznał sylwetkę Natalie z kasztanowymi włosami związanymi w kucyk. Krzątała się po kuchni, pewnie robiła herbatę dla dziewczynek. Obiektyw skierował się prosto na nią i zaraz potem jego żona zajęła większą część ekranu. Nalewała wodę do czajnika, nie mając pojęcia, że jest

obserwowana.

Penny oderwał oczy od ekranu i patrzył na intruza, który podniósł do ucha komórkę i wyszczerzył po rosyjsku jakiś rozkaz. Kamerzysta położył kamerę na ziemi, kierując obiektyw w swoją stronę. Cofnął się o kilka kroków i na ekranie ukazała się górna połowa jego ciała. Miał na sobie ciemne ubranie i kominiarkę. Penny'emu serce zamarło, gdy dostrzegł w jego ręku wielki nóż myśliwski, potyskujący w poświacie księżyca.

— Ten człowiek jest moim współnikiem — wyjaśnił rzeczowo mężczyzna. — Czekaj na moje rozkazy. Jeśli każę, wejdzie do pańskiego domu i na oczach waszych córek poderżnie gardło pańskiej żonie, a potem zajmie się nimi.

Penny z trudem przełknął ślinę. Zrobiło mu się niedobrze.

— Nie możecie... — jęknął drżącym głosem.

— Możemy, panie Penny, niech się pan nie łudzi... chyba że zrobi pan to, co powiedziałem.

— Przecież to tylko dzieci! — krzyknął z rozpaczą, trąc ręką czoło. Chciał rzucić się na tego człowieka, rozerwać go na strzępy, ale wiedział, że jest bezsilny.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— To nie moja sprawa. I na wypadek gdyby pan myślał, że żartuję, pozwolę sobie dodać, że mój współnik jest psychotycznym sadystą. Na szczęście mogę na nim polegać. Zabił już dla mnie trzy osoby. Ani wiek, ani płeć ofiar nie mają dla niego znaczenia.

— Boże...

— Jeśli jednak zrobi pan to, co każę, nie spotka ich krzywda.

— Skąd mam wiedzieć, że pan nie kłamie? Skąd mam wiedzieć, że pan ich nie zabije?

— Mojemu klientowi zależy tylko na pańskiej śmierci. Poza tym chce, żeby pana śmierć wyglądała... — Umilkł na chwilę. — Nie budziła podejrzeń. Rozumie pan?

Penny mimo woli pokiwał głową.

— Jeśli napisze pan listy samobójcze, a następnie się powiesi, wtedy nie będzie wyglądało to podejrzanie, ale jeśli będziemy zmuszeni zabić pańską rodzinę, wtedy oczywiście sytuacja się zmieni, co przysporzy kłopotów mojemu klientowi. Wolimy tego uniknąć. Oczywiście, pańska śmierć będzie ciosem dla żony i córek... bez wątpienia będą zrozpaczone... jednak takie rozwiązanie będzie dla nich znacznie lepsze niż druga możliwość.

— Wiem, kim jest pański klient — oznajmił Penny, zastanawiając się gorączkowo i czując przyspieszone bicie serca. Jak każdy człowiek w takiej sytuacji nie mógł pogodzić się z myślą, że czeka go śmierć. Rozpaczliwie szukał planu, który pozwoli mu przetrwać. Jakiegokolwiek planu. — Proszę posłuchać, teraz wiem, że ta sprawa mnie przerasta, więc natychmiast zrezygnuję z dalszego dochodzenia. Nigdy nie napiszę o tym ani słowa. Obiecuję. — Uderzył się pięścią w pierś na znak, że mówi poważnie. Miał nadzieję, że to wystarczy.

Nie wystarczyło. Mężczyzna znów się uśmiechnął.

— Nie wierzę, panie Penny. Mój klient też nie wierzy. Albo napisze pan te listy i zrobi, co mówię, albo każę mojemu wspólnikowi wymordować pańską rodzinę. Niech pan spojrzy na nóż i wyobrazi sobie, jak przecina gardła pańskiej żony i córek, gdy błagają o litość. Krzyczą, ale nikt ich nie słyszy, bo wasi sąsiedzi mieszkają ponad sto metrów dalej. Na tym polega problem z mieszkaniem w odosobnieniu, prawda?

Penny pokręcił głową.

— Jezu... — zakał, gdy w końcu do niego dotarło, że jego życie prawie na pewno się skończy. — Boże...

— Ma pan dziesięć sekund na podjęcie decyzji.

Zanim został ojcem, zawsze się śmiał, gdy jego znajomi ojcowie mówili, że bez wahania oddaliby życie za swoje dzieci. Nigdy nie potrafił tego pojąć. Dopiero teraz, gdy miał dwie piękne córki, z absolutnym przekonaniem przyznał im rację. Mówiąc szczerze, nie poświęciłby życia dla Natalie; w ich

małżeństwie od dawna nie było miłości. Dla kochanki też by tego nie zrobił. Zawróciła mu w głowie, może nawet ją kochał, ale zawsze wiedział, że romans nie będzie trwać wiecznie. Jednak Ella i Amelie... tutaj nie było żadnych wątpliwości. Zdawał sobie sprawę, że siedzący naprzeciwko niego mężczyzna jest śmiertelnie poważny, ponieważ wiedział, kim jest jego klient i do czego ten potwór jest zdolny.

Penny przeklął się w duchu, że wmieszał się w tę sprawę, że tak łatwo dał się wytropić i wciągnąć w pułapkę, że kupił stojący na odludziu domek, w którym ktoś bez zwracania na siebie uwagi mógł wymordować jego rodzinę. Przeklinał się za wszystko, choć było za późno, żeby cokolwiek zmienić.

Wbił oczy w bladą twarz mężczyzny, bez powodzenia próbując znaleźć odrobinę człowieczeństwa w tym zimnym, profesjonalnym robocie.

— Jak możesz żyć w zgodzie z własnym sumieniem? — zapytał w ostatnim, instynktownym odruchu buntu.

Zabójca pozwolił sobie na znaczący uśmiešek.

— Przychodzi mi to znacznie łatwiej, niż ci się wydaje — odparł, wyjmując linę z aktówki.

Penny otworzył notes i zaczął pisać.

Część pierwsza

TOPÓR SIĘ WZNOSI

1

Hongkong jest królem nowoczesnych miast dwudziestego pierwszego wieku, architektonicznym cudem, który porywa cię, w chwili gdy opuszczasz lotnisko i jedziesz gładką, niemal pustą drogą po wielkich mostach rozpiętych jak stalowe szkielety nad niebieskosharym morzem pełnym dżonek i frachtowców. Siedem milionów ludzi zamieszkuje te rozproszone górzyste wysepki, niektóre wciąż porośnięte subtropikalną roślinnością jak tyśię, może nawet milion lat temu. Rośnię na nich również las drapaczy chmur, które jakby na wyścigi pną się ku niebu w kłęby białej mgły, często przywierającej do górskich szczytów. Czy lubisz wielkie miasta, czy nie, Hongkong cię uwiedzie i nic na to nie poradzisz.

Osobiście nie przepadam za metropoliami. Prawie dwadzieścia lat spędziłem w Londynie i wystarczyłoby mi to na parę wcieleń. Obecnie moim domem jest gorące, sennie miasto Luang Prabang, które leży w lasach północnego Laosu, ledwie kilkaset kilometrów od Hongkongu w linii prostej, ale milion kilometrów dalej pod każdym innym względem, i jest o niebo lepsze dla kogoś takiego jak ja. Mimo to wciąż czułem pełen szacunku podziw, gdy patrzyłem przez okno taksówki wiozącej mnie na wyspę Hongkong i do celu mojej podróży.

Byłem tu tylko raz, jakieś półtora roku temu, żeby zabić

człowieka — bezczelnego i skorumpowanego brytyjskiego ekspata, który uważał się za niezwyciężonego, choć wcale taki nie był. Ale to zupełnie inna historia. Powodem obecnej wizyty było spotkanie z człowiekiem, dla którego od czasu do czasu pracowałem. Nazywał się Bertie Schagel i był Holendrem.

Zazwyczaj lubię Holendrów. Są towarzyscy i zawsze doskonale mówią po angielsku, co ułatwia rozmowę. Bertie Schagel też wybornie znał ten język, nie był jednak miłym człowiekiem. Prawdę mówiąc, był jednym z najbardziej odrażających ludzi, jakich znałem — a w ciągu mojego życia miałem pecha poznać takich wielu. Ale zawdzięczałem mu wolność i od trzech lat upominał się o spłatę długu. To on przysłał mnie tu zeszyłem razem, żebym zabił tego ekspata, ponieważ likwidowanie ludzi dla innych ludzi było jednym z podstawowych źródeł jego dochodu, a w dzisiejszym bezwzględnym świecie globalnego kapitalizmu nie narzekał na brak pracy.

Prawdę mówiąc, niewiele wiedziałem o Bertiem Schagelu. Ilekroć miał dla mnie robotę, ze względów bezpieczeństwa zawsze spotykaliśmy się w różnych miejscach w Azji Południowo-Wschodniej i nie miałem pojęcia, gdzie mieszka na stałe. Nie znałem nawet jego numeru telefonu. Kontaktował się ze mną przez pocztę hotmail, przysyłając wiadomości z różnych adresów i zawsze ograniczając do minimum liczbę szczegółów. Kiedy chciał, żebym coś zrobił, pisał wiadomość w folderze roboczym konta e-mailowego, do którego tylko my dwaj mieliśmy dostęp, i podawał, gdzie się spotkamy. Kasowałem wiadomość po przeczytaniu i pisałem odpowiedź, zwykle potwierdzając moje stawiennictwo. W ten sposób żadna wiadomość *de facto* nie była przesyłana przez sieć, co znaczyło, że nasza korespondencja nie może być przez nikogo monitorowana. Schagel był wyjątkowo ostrożny w interesach. Szczerze mówiąc, nie mógłbym nawet powiedzieć, czy naprawdę nazywa się Bertie Schagel — podejrzewałem, że to mało prawdopodobne. Wiedziałem na pewno, że jest

bezlitosny, i gdybym tylko mógł przestać dla niego pracować, dając słowo, że bym to zrobił.

Ale przynajmniej na razie byłem z nim związany, więc kiedy wołał, biegłem na wezwanie, a on dobrze wiedział, że się zjawię.

Kazałem taksówkarzowi zatrzymać się przed L'Hotel, lśniąca czterdziestopiętrową budowlą w dzielnicy Causeway Bay. Kiedy odjechał, podniosłem torbę, do której Schagel kazał mi zapakować ubrania na trzy dni, i poszedłem Causeway Bay Road z monolitycznymi budynkami piętrzącymi się po obu stronach do zielonej oazy Victoria Park.

Było późne popołudnie, nietypowo ciepłe i parne jak na luty, i słońce wyszło zza chmur, opadając nad półwyspem Koulun. W jednym z ogrodów grupa starszych osób ćwiczyła tai-chi, a na ławkach wzdłuż alejek siedziały pary w różnym wieku. Niektórzy trzymali się za ręce, ciesząc się ciepłem i swoim towarzystwem.

Szedłem ze spuszczoną głową. Nie chciałem napotkać nikzyjgo spojrzenia. Ci ludzie mogli sobie być tutejszymi Chińczykami, którzy prawdopodobnie nie rozpoznaliby we mnie zbiegłego byłego angielskiego policjanta, od prawie dziesięciu lat poszukiwanego przez Interpol za morderstwo, ale z gorzkiego doświadczenia wiedziałem, że nie ma czegoś takiego jak nadmiar ostrożności. Rozglądając się ukradkowo, czułem zazdrość. Jako uciekinier od dawna żyłem w stanie permanentnej samotności i widok dzielonego z bliską osobą spokojnego życia wzmagał mój ból, ponieważ stale mi przypominał o tym, co straciłem.

Przeszedłem kładką nad sześciopasmową Victoria Highway i przypominając sobie instrukcje, ruszyłem wzdłuż nowoczesnego nabrzeża portu Causeway Bay, zdumiony panującą tu ciszą. W końcu dotarłem do kamiennych schodów prowadzących nad wodę, gdzie podskakiwał motorowy ponton. Nieznajomy biały mężczyzna w bawełnianej koszulce i okularach przeciwsłonecznych lekko skinął głową, gdy

zszedłem na dół i wgramoliłem się na pokład, po czym bez słowa zapuścił silnik i odbił od brzegu.

W porcie stały różne łodzie, te najdroższe najbliżej brzegu, a dżonki najdalej, stłoczone przy falochronie. Nic więc dziwnego, że nasza podróż zakończyła się raptem po pięćdziesięciu metrach, gdy dobiliśmy do burty jednego z najbardziej eleganckich, najdroższych jachtów. Bertie Schagel nie był człowiekiem, który oszczędza kosztem własnej wygody.

Drugi biały mężczyzna, w koszulce i okularach przeciwsłonecznych, pojawił się na pokładzie i złapał cumę, gdy wchodziłem po trapie. Poślizgnąłem się na włóknie szklanym, a on złapał mnie za ramię, chroniąc przed upadkiem. Podziękowałem mu skinieniem głowy, rozpoznając go z ostatniego spotkania z Schagelem w pewnym hotelu w Singapurze. Byłem lekko zakłopotany, że straciłem chłodne opanowanie, jakie lubiłem prezentować w tego rodzaju sytuacjach.

Facet wskazał w kierunku dolnego pokładu. Po raz ostatni spojrzałem na zachodzące słońce i wszedłem przez otwarte drzwi w klimatyzowany chłód słabo oświetlonego pomieszczenia. Gruby mężczyzna o bardzo dużej głowie siedział w obitym skórą fotelu, który, choć wielki, wydawał się za mały, żeby go pomieścić. Bertie Schagel miał zaczesane do tyłu rzadniejące siwe włosy i był ubrany w czarny garnitur z rozpiętą pod szyją czarną koszulą odsłaniającą grube, gęste włosy na klatce piersiowej. Z wielką szklanką jakiegoś alkoholu w jednej ręce i z wypalonym do połowy kubańskim cygarem w drugiej — niesamowicie przypominał piosenkarza Meat Loafa w eleganckim kostiumie finansisty Gordona Gekko z filmu *Wall Street*.

— Dennisie, dobrze, że jesteś — powiedział z szerokim uśmiechem, nawet nie próbując wydostać się z fotela, co zresztą trwałoby o wiele za długo. — Siadaj. Napijesz się czegoś?

Normalnie bym odmówił, bo nigdy nie lubiłem mieszać

interesów z przyjemnościami ani spędzać z Schagelem więcej czasu, niż było to absolutnie konieczne, ale czułem się rozbity po locie z Bangkoku. Odparłem, że chętnie wypiję piwo.

— Singha, jeśli pan ma — dodałem.

— Mamy wszystko — oznajmił Schagel, po czym odwrócił głowę i krzyknął przez ramię, żeby ktoś je przyniósł.

Kilka sekund później przez drzwi za jego plecami weszła ciemnoskóra Tajka o ufarbowanych na blond włosach, niosąc piwo. Miała nie więcej niż osiemnaście lat, czyli co najmniej trzydzieści mniej niż Schagel, i była ubrana w obcisłe dżinsowe szorty i jeszcze bardziej obcisły jaskraworóżowy top, który jak druga skóra opinał jej chłopięce ciało. Gdy położyła podkładkę na tekowym stoliku i postawiła na niej butelkę, Schagel pochylił się i z lubieżnym łypnięciem dał jej bolesnego klapsa. Dziewczyna drgnęła z zaskoczenia, ale poza tym nie okazała, że coś się stało. Wyszła z kabiny, nie patrząc mi w oczy.

Było jasne, że Schagel poniżył ją z uwagi na mnie. Można by pomyśleć, że facet znajduje w tym jakąś osobliwą przyjemność. Pewnego razu, gdy mieliśmy umówione spotkanie, musiałem czekać, wysłuchując, jak wrzeszczy na kogoś w sąsiednim pokoju (nie dowiedziałem się, czy obiektem ataku był mężczyzna, czy kobieta, bo słyszał było tylko jego głos). Zakończył tyradę, wymierzając temu komuś głośny policzek, po czym wtarał się do pokoju i powitał mnie jednym z tych swoich chytrych, porozumiewawczych uśmieszków. Chyba w ten sposób mi przypominał, że on jest szefem i rzadzi, że może robić wszystko, co chce, i ani mnie, ani nikomu innemu nie uda mu w tym przeszkodzić.

Tylko raz odmówiłem wykonania jego rozkazów. Chciał, żebym zabił mieszkającą w Kuala Lumpur Rosjankę w średnim wieku, na zlecenie jej męża, biznesmena, który, jak się zdaje, nie chciał zawracać sobie głowy rozwodem. Poza tym mąż musiał być na nią nieźle wkurzony, bo zażyczył sobie, żeby ją porwać, wywieźć w jakieś ustronne miejsce i uciąć jej głowę

przed kamerą, a następnie dostarczyć mu nagranie.

Nieodmiennie dziwi mnie albo smuci ludzkie wynaturzenie. Gdy Schagel powiedział mi o robocie, myślałem, jak nisko upadłem, skoro biorę udział w takiej rozmowie. Zaproponował mi sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów — trzykrotność sumy, której zwykle się spodziewam — i było jasne, że sam zgarnie znacznie więcej. Jednak odrzuciłem propozycję.

Nie jestem dobrym człowiekiem. Zabiłem w moim życiu ludzi, którzy prawdopodobnie na to nie zasłużyli. Prawdę mówiąc, jestem tego pewien. Działalem jako sędzia, ława przysięgłych i kat, kiedy nie miałem absolutnie żadnego prawa tego robić. Ale kosztowało mnie to wiele nieprzespanych godzin. Budziłem się w środku nocy, spocony i przerażony, gdy duchy przeszłości nawiedzały moje sny — wiedziałem, że będą ze mną do końca mojego życia i prawdopodobnie nawet po śmierci. Mam poczucie moralności. Lubię myśleć, że likwiduję ludzi, którzy zrobili coś złego, nie są niewinni. Ta kobieta nie była niczemu winna, dlatego się nie zgodziłem, wiedząc, że od tej decyzji zależy moje zdrowie psychiczne.

Schagel nie przyjął tego dobrze. Groził mi i przekonywał, że w każdej chwili może kazać mnie aresztować, a wtedy resztę życia spędzę w więzieniu. Mógł to zrobić. Wiedział o mnie znacznie więcej niż ja o nim i załatwił mi fałszywe papiery, którymi się teraz posługiwałem. Poza tym w przeciwieństwie do mnie miał kilku potężnych przyjaciół. Nie ustąpiłem jednak i w końcu zrezygnował. Nie wydał mnie władzom. Przypuszczam, że byłem dla niego zbyt użyteczny. Niestety, kilka tygodni później przeczytałem w gazecie, że w rzece Klang tuż pod Kuala Lumpur znaleziono pozbawione głowy ciało pięćdziesięciosześcioletniej kobiety. Odrzucenie propozycji poprawiło mi samopoczucie, ale Rosjance niewiele pomogło.

Podniosłem piwo i pociągnąłem długi łyk, rozkoszując się chłodem i smakiem chmielu.

— Czemu zawdzięczam przyjemność przebywania w

pańskim towarzystwie, panie Schagel?

— Prosto do rzeczy, Dennisie. To u ciebie lubię. — Uśmiechnął się jak jaszczurka i splótł palce, głośno strzelając knykciami. — Wobec tego ja też powinienem przejść prosto do rzeczy. Jest robota na Filipinach... jak rozumiem, znasz ten kraj.

Skinąłem głową. Filipiny. Nie byłem tam od sześciu lat i natychmiast zacząłem się zastanawiać, skąd Schagel wie, że ten kraj jest mi znany. Ja na pewno mu tego nie powiedziałem i o ile wiem, nikt nie miał pojęcia, że spędziłem tam trzy lata po ucieczce z Wielkiej Brytanii. Ale na razie to odpuściłem.

— Kim jest cel?

— Irlandzki ekspat, od dawna mieszkający w Manili. Nazywa się Patrick O’Riordan. — Schagel sięgnął za fotel po szarą kopertę, którą mi podał.

Otworzyłem ją i wyjąłem czarno-białe zdjęcie formatu A4, przedstawiające wysportowanego białego mężczyznę po pięćdziesiątce, z szopą kędzierzawych białych włosów i pewnym siebie półuśmiechem, jakby w jego świecie wszystko dobrze się układało. Prawdopodobnie tak było.

— Zadanie powinno być proste — kontynuował Schagel. — Klient zapewnia, że pan O’Riordan niczego nie będzie się spodziewać.

Czasami ludzie, których bierzesz na cel, podejrzewają, co nadchodzi, i podejmują środki ochrony albo sprawdzają, czy nie są śledzeni, co nieco utrudnia ich tropienie. Z mojego punktu widzenia dobre jest to, że zwykle takie zachowanie oznacza, iż są czemuś winni. Ale jeśli Patrick O’Riordan — kimkolwiek jest — niczego się nie spodziewa, to możliwe, że jest niewinny. Albo głupi. Tak czy owak, trochę wytrąciła mnie z równowagi świadomość, że w tej chwili facet zajmuje się swoimi zwykłymi sprawami, nie zdając sobie sprawy, że tysiące kilometrów dalej dwie osoby rozmawiają o jego śmierci.

— Kim jest? — zapytałem.

— Dziennikarzem piszącym do „Manila Post”.

— Ktoś musi naprawdę nie lubić jego pracy.

Schagel się uśmiechnął.

— Owszem. Wiesz, że na Filipinach ginie więcej dziennikarzy niż w każdym innym kraju na świecie?

— Nie wiedziałem — odparłem, choć informacja mnie nie zaskoczyła. Z doświadczenia wiem, że Filipiny są niepraworządnym, skorumpowanym krajem, gdzie ludzie ze wszystkich środowisk traktują pistolet jako pierwszy, a nie ostatni sposób rozwiązania problemu.

— Pan O’Riordan mieszka z żoną w mieście. Klientowi zależy na zlikwidowaniu dziennikarza, ale jeśli żona wejdzie w paradę... — Schagel wzruszył ramionami i jego wielka głowa jakby się w nie zapadła. — Będiesz musiał się jej pozbyć.

Nie zareagowałem na ten lekki, bez troski ton. Po jego minie poznałem, że sprawdza moją reakcję. Chciał mieć pewność, że zastrzelę kobietę, jeśli stanie mi na drodze.

Zapytałem go o wysokość zapłaty.

— Wynagrodzenie wynosi siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, płatne w zwykły sposób po wykonaniu zadania.

Zwykły sposób polegał na przelewie pieniędzy z firmy przykrywki zarejestrowanej w Hongkongu na panamskie numerowane konto bankowe, które Schagel otworzył dla mnie trzy lata temu. Stamtąd przelewałem je na konto w Bangkok Bank (również założone przez Schagela) i kiedy chciałem, transferowałem pieniądze do banku w Laosie. Wielkość wypłat nigdy nie była na tyle duża, żeby zainteresować władze, i choć miałem z tym sporo zachodu, taki sposób był o wiele mniej podejrzany niż przerzucanie wielkich sum z kraju do kraju.

Schagel wydmuchnął dym z cygara.

— W Manili dostaniesz nowy pistolet z tłumikiem. Użyj go. Klient chce, żeby O’Riordan został zlikwidowany we własnym domu, a kiedy go załatwisz, masz podłożyć ogień.

Skinąłem głową na znak, że to mi odpowiada, choć zgoda

oznaczała, że prawie na pewno będę musiał też zabić jego żonę, co napędlilo mnie obłudnym niesmakiem.

— Jedyne warunki są takie, że zadanie musi zostać wykonane szybko. Bardzo szybko. Zarezerwowałem ci bilety na lot Cathay Pacific na dwudziestą drugą. Czas powrotu nie jest określony, ale klient chce, żebyś wrócił jutro przed czternastą czasu miejscowego. Dlatego zapłata jest wyższa niż zwykle.

— Nie mogę tego zagwarantować, panie Schagel. Nie lubię pośpiechu w tego rodzaju robocie. Wie pan o tym. Zbyt wiele rzeczy może pójść źle.

— Właśnie dlatego klient przyszedł do mnie. Chce, żebyś zajął się tym zawodowcem. Ktoś, kto potrafi działać szybko i zdecydowanie. — Machnął w moją stronę cygarem. — Wielokrotnie dowiodłeś, Dennisie, że jesteś profesjonalistą. Zrób to dla mnie. Jutro o czternastej O’Riordan ma być martwy, w przeciwnym razie nie wywiążę się z umowy, co zaszkodzi mojej reputacji.

Zacząłem coś mówić, ale uniósł dłoń, dając do zrozumienia, że sprawa nie podlega dyskusji, więc wołałem nie próbować. Wskazał kopertę w mojej ręce.

— Jest tam również telefon. W notatkach znajdziesz adresy domu i miejsca pracy pana O’Riordana, a także kilku lokali, do których zagląda.

— A jeśli nie ma go w mieście? — zapytałem, wyjmując z koperty nowego iPhone’a.

— Mam informacje z wiarygodnego źródła, że jest.

Wydawało się, że klient Schagela całkiem sporo wie o człowieku, na którego śmierci mu zależy, ale to akurat było mi na rękę. Potwierdzone informacje ułatwiają wiele rzeczy.

— W komórce jest wpisany numer telefonu do używania w sytuacjach awaryjnych, gdybyś musiał się ze mną skontaktować. Możesz to zrobić o każdej porze. Zadzwoń, zostaw wiadomość, a ja oddzwonię w ciągu godziny. Kiedy potwierdzisz, że zadanie zostało wykonane, wykasuj wszystko

z telefonu i pozbądź się go w taki sposób, żeby nie został znaleziony. Zapamiętałeś twarz celu?

Skinałem głowę, schowałem iPhone'a do kieszeni dżinsów i oddałem mu kopertę ze zdjęciem.

W ciągu trzech ubiegłych lat kropnąłem cztery osoby dla Bertiego Schagela, który miał ustalony sposób działania. Postępował metodycznie, uwzględniając wszystkie możliwości. Zawsze był gotów rozwiązać niespodziewane problemy i nie zostawiał za sobą absolutnie niczego, co mogłoby go powiązać z przestępstwem. Ale przynajmniej można było na nim polegać, a w moim fachu to jest bezcenne.

Wiedziałem też, że nie należy zadawać zbyt wielu pytań. Od śmierci tamtej Rosjanki nigdy tego nie zrobiłem. Wciąż lubiłem myśleć, że celami są wyłącznie niegodziwcy (i wszyscy byli facetami), którzy zasłużyli na to, żeby źle skończyć, chociaż nie mógłbym przysiąc tego z ręką na sercu, zwłaszcza teraz, gdy się dowiedziałem, że O'Riordan jest dziennikarzem. Ponieważ jednak odrzuciłem tamtą propozycję, wiedziałem, że Schagel nie do końca mi ufa. Wolał, by jego ludzie byli tacy jak on, wyzuci z wszelkich uczuć. Na szczęście jeszcze nie upadłem tak nisko, choć od czasu do czasu w ponurych chwilach samotności, kiedy rozmyślałem nad swoim miejscem w świecie, zastanawiałem się, czy ostateczny upadek nie jest wyłącznie kwestią czasu.

Schagel dopił drinka, po czym obrzucił mnie spojrzeniem sugerującym, że nasze spotkanie dobiegło końca.

— Jeśli chcesz, wezwę taksówkę, która zawiezie cię na lotnisko — zaproponował.

— Dziękuję, nie trzeba. Ale chciałbym z panem jeszcze o czymś porozmawiać.

Zrobił podejrzliwą minę.

— Naprawdę? O czym?

Nie pałęm się do tej rozmowy, lecz wiedziałem, że nie mogę dłużej zwlekać.

— O mojej emeryturze. Sporo dla pana zrobiłem, ale

zarabiam na życie, prowadząc własną działalność, i zamierzam rozkręcić interes. Po tym zleceniu chciałbym zakończyć naszą znajomość.

Schagel popatrzył na mnie przez dym cygara z lekkim rozbawieniem, jakbym opowiedział mu kiepski dowcip.

— Nie zapomniałeś, mam nadzieję, co dla ciebie zrobiłem?

Nie zapomniałem. To dlatego byłem jego dłużnikiem. Gdyby Bertie Schagel nie pospieszył mi na ratunek, resztę życia spędziłbym za kratkami. Nie zrobił tego z altruistycznych pobudek, ale mimo to zrobił.

— Nie — odparłem. — Uważam jednak, że po tej robocie, numer pięć, mój dług będzie spłacony.

— Wyciągnięcie cię z aresztu kosztowało mnie sporo pieniędzy i wysiłku. Władze brytyjskie ścigają cię za zabójstwo, a słyną z długiej pamięci. Jednak udało mi się zapewnić ci wolność. — Zamilkł na chwilę. — Nadejdzie czas, kiedy twój dług zostanie spłacony. Zawsze ci to mówiłem. Na razie jesteś mi jeszcze potrzebny, ty i świadczone przez ciebie usługi, i dobrze ci płacę za twoje starania, prawda? Mimo że pewnego razu odmówiłeś współpracy. — Odchrząknął. — Jeśli załatwisz dla mnie tę sprawę w ustalonym czasie, wtedy może znowu pogadamy, zgoda? Ale najpierw masz wykonać zlecenie.

Trzeba mu przyznać, umiał przekonywać, a sposób, w jaki to ujął, niemal wywołał we mnie poczucie winy, że poruszyłem ten temat. Tak czy inaczej, musiałem zrobić, co mi kazał, ponieważ na tym polegał mój problem: byłem zadłużony u niewłaściwej osoby.

— Zgoda — odparłem i wstałem, wiedząc, że mam wyruszyć w podróż, która zostawi kolejną plamę na moim już zbryzganym krwią sumieniu.

Ale gdybym miał choć cień podejrzenia, w jakiej strasznej ciemności się znajdę, złapałbym pierwszy samolot do domu i zaryzykował ucieczkę, nawet gdyby oznaczało to spędzenie reszty moich dni w więzieniu.

2

Ich spojrzenia były zimne i wyzywające, choć wiedziała, że muszą być przerażeni. W końcu byli niemal dziećmi — najstarszy niedawno skończył osiemnaście lat, pozostała dwójka miała po siedemnaście — a dwadzieścia cztery godziny temu przewodniczący ławy przysięgłych ogłosił, że są winni. Prawo angielskie przewiduje tylko jeden wyrok za morderstwo: dożywocie. Decyzja, kiedy skazani będą mogli się ubiegać o przedterminowe zwolnienie, leży w gestii sądu. Wszyscy w zatłoczonej sali sądowej wiedzieli, że pani sędzia nie będzie pobłażliwa. Okoliczności przestępstwa były zbyt drastyczne. Ofiara, szesnastoletni Michael Fremi, był obiecującym uczniem, który powinien świętować zakończenie szkoły średniej, bo otrzymał pięć ocen bardzo dobrych i celujących. Niestety, nie poznał wyników egzaminów, ponieważ pewnego piątkowego wieczoru w sierpniu ubiegłego roku trzech oskarżonych zaczęło się na końcu jego ulicy i napadło na niego, gdy wracał do domu od kolegi. Kilka dni wcześniej postawił się jednemu z nich, Karlowi Brayerowi, który próbował ukraść jego koledze telefon komórkowy. Napaść była zemstą bandy Brayera. W czasie krótkiego, ale wyjątkowo brutalnego ataku, według świadków trwającego zaledwie sekundy, ugodzili go szesnaście razy, używając trzech noży. Jeden przebił serce, inny przeciął tętnicę szyjną. Nigdy tak

naprawdę nie było żadnych wątpliwości, że chcieli go zabić.

Komisarz Tina Boyd z wydziału zabójstw Camden pełniła służbę tamtej nocy i jako jedna z pierwszych znalazła się na miejscu przestępstwa. Dobrze pamiętała, jak zrozpaczona matka tuliła w ramionach martwego syna, nie chcąc pozwolić mu odejść. Miał zamknięte oczy i wyraz niemal anielskiego spokoju na młodej, gładkiej twarzy. I krew. Tego też nie mogła zapomnieć. Było jej tak wiele, że wciąż spływała do ścieku, kiedy się tam zjawiała.

Szybko złapali zabójców. W podobnych sprawach zawsze tak bywa, co nieodmiennie prowokowało Tinę do zastanawiania się, dlaczego właściwie te dzieciaki to robią. Przecież muszą rozumieć, że rezultat końcowy — aresztowanie, wyrok skazujący — jest nieuchronny. Czy ich życie naprawdę było aż tak jałowe? Niestety, wiedziała, że odpowiedź brzmi twierdząco, i gdy stała w sali sądowej, patrząc na oskarżonych ze świadomością, że wyroki skazujące oznaczają kolejny sukces jej zespołu, wcale nie czuła satysfakcji.

Sędzia, kobieta w średnim wieku o wyniosłej minie, wyglądająca naprawdę śmiesznie w peruce i todze, zabrała głos i w sali zapadła kamienna cisza.

Tina odpłynęła myślami, gdy sędzia opisywała brutalność przestępstwa i okrucieństwo sprawców. Słyszała to wszystko nie po raz pierwszy i słowa zawsze brzmiały sztucznie, głównie dlatego, że całkowicie zależały od werdyktu ławy przysięgłych. Gdyby przysięgli zadecydowali, że oskarżeni działali w samoobronie, sędzia przeproszałaby ich teraz i oznajmiała, że są wolni. Jedną z największych bolączek brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości było to, że niezależnie od tego, jak dobrze ona i jej koledzy przygotowali sprawę przeciwko aresztowanym przez siebie ludziom, wynik zależał od kaprysu dwunastu obywateli, którzy często nie znali się na prawie.

Ktoś głośno krzyknął na galerii dla publiczności za jej plecami, gdy sędzia ogłosiła, kiedy Karl Brayr będzie mógł się ubiegać o przedterminowe zwolnienie. Po siedemnastu

latach, co oznaczało, że stanie przed komisją najwcześniej w wieku trzydziestu pięciu lat, gdy jego młodość będzie nie więcej niż wyblakłym wspomnieniem. Brayer powoli, z rozmysłem odwrócił się w kierunku miejsc dla publiczności i parsknął z taką pogardą, na jaką mógł się zdobyć.

Wtedy podchwycił spojrzenie Tiny. To ona przedstawiła mu zarzuty w pokoju przesłuchań i teraz na jej widok powoli przeciągnął palcem po szyi, bezgłośnie wypowiadając słowa: „Głupia dziwka”.

Uśmiechnęła się do niego z odpowiednią dawką litości, po raz pierwszy tego dnia czując się pogodzona ze światem. Trzeba by kogoś więcej niż takiego nadętego szczeniaka jak Brayer, żeby ją wystraszyć, nie po tym, przez co przeszła w ciągu lat pracy. Wsadzałam za kratki ludzi, na których widok włosy stanęłyby ci dęba, pomyślała, patrząc mu w oczy, zadowolona, że pierwszy odwrócił od niej wzrok.

Sędzia ogłosiła wyrok, skazując jego kumpli na dożywocie z możliwością zwolnienia warunkowego po szesnastu latach. Rozprawa się zakończyła i strażnicy wyprowadzili trójkę oskarżonych, szamoczących się ze złością, do końca pozujących na macho, gdy z jednej strony galerii dla publiczności padały wyzwiska, a z drugiej — słowa otuchy wykrzykiwane przez ich rodziny.

Tina wymieniła uścisk dłoni z dwoma kolegami, którzy również przyszli na odczytanie wyroku, potem pochyliła się nad krzesłami i uściśkała matkę Michaela; Constanta Fremi uśmiechała się przez łzy, gdy targały nią skrajne emocje.

Kiedy tylko Tina wyszła z gmachu sądu na ulicę, włączyła komórkę i zapaliła papierosa. Powiedziała kolegom — nowemu szefowi, nadkomisarzowi Bobowi Levine’owi i byłemu partnerowi, konstablowi Danowi Grierowi — że spotka się z nimi w komisariacie. Była umówiona w Finchley ze świadkiem innej ulicznej napaści z użyciem noża, również zakończonej morderstwem. Dwudziestoletnia samotna matka, Gemma Hanson, zastraszana przez rodzinę sprawcy, chciała odwołać

zeznania przed wyznaczoną na kwiecień rozprawą. Tina wiedziała, że musi ją przekonać, by tego nie robiła, ponieważ bez niej dowody przeciwko podejrzanemu prawie na pewno zostaną podważone. Zastraszanie świadka zdarza się znacznie częściej, niż sądzi większość ludzi, a policja po prostu nie ma środków, żeby zapewnić ochronę każdemu, kto się na to skarży. Realnie rzecz biorąc, mogła zaoferować Gemmie tylko słowa otuchy i mało konkretną obietnicę, że w okolicy zostanie zwiększona liczba policyjnych patroli. Już zainstalowali przycisk alarmowy, ale gdy ostatnim razem kobieta go wcisnęła, bo przez okno wpadła cegła, o włos mijając łóżeczko z dzieckiem, miejscowi policjanci zjawili się dopiero po kwadransie. Tina wiedziała, że jej zadanie nie będzie łatwe.

Schroniła się w wejściu do sklepu przed przenikliwym lutowym wiatrem i głęboko, niemal desperacko zaciągnęła się dymem, ciesząc się ostrym kopem nikotyny. W poczcie głosowej miała tylko jedną wiadomość — od sierżanta Roba Weale’a z wydziału zabójstw w Essex. Prosił, żeby się z nim skontaktowała, kiedy znajdzie wolną chwilę. Choć nie rozpoznała nazwiska, była na tyle zaintrygowana, że oddzwoniła.

Odebrał po trzecim sygnale, przedstawił się i podał stopień służbowy, mówiąc z silnym akcentem podobnym do gwary londyńskiej.

— Tu Tina Boyd — powiedziała, po czym ostatni raz zaciągnęła się papierosem i zgmiotła niedopałek obcasem. — Dzwonił pan do mnie.

— Tak, dziękuję, że się pani odezwała. Jak rozumiem, utrzymywała pani kontakty z dziennikarzem o nazwisku Nick Penny. Czy to prawda?

Zjeżyła się, słysząc jego słowa.

— Tak, to mój znajomy — odparła oficjalnym tonem.

— W takim razie mam dla pani złe wiadomości.

Od razu wiedziała jakie, ale i tak zapytała, czując skurcz w brzuchu.

— Co się stało?

— Zmarł ubiegłej nocy. Wygląda na to, że popełnił samobójstwo.

— Nie — oświadczyła stanowczo. — To było morderstwo. Sierżant Weale odchrząknął.

— Przeczuwałem, że pani to powie. Jestem teraz na miejscu zdarzenia. Chyba musimy porozmawiać.